

# JĘZYK POLSKI

WYDAWNICTWO KOMISJI JĘZYKA POLSKIEGO  
AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

## RYTMY I METRY.

### 2. Pierwsze próby metrów polskich.

Pierwszą niewątpliwą próbą naśladowania metrów klasycznych w poezji polskiej był Chorus w »Odprawie posłów greckich« Jana Kochanowskiego z r. 1578:

O biało- | skrzydła | morska pła- | waczko,  
Wychowa- | nico | Idy wy- | sokiej  
Łodzi bu- | kowa, | któraś | gładkiej  
Twarzy pa- | sterza | Pryjam- | czyka  
Mokremi | słonych | wód ścież- | kami  
Do przezro- | czystych | Euro- | towych  
Brodów no- | siła.

Mamy tu szereg wierszy, mających cechę wspólną, t. j. 4 akcenty, czyli 4 niby stopy; pierwsza z nich jest zawsze 3-zgłoskowa, niekiedy też 3-zgłoskową bywa trzecia z kolei, natomiast druga i czwarta zawsze, a trzecia najczęściej po dwie zgłoski liczą. Szereg tych wierszy 4-stopowych miejscami przecinają wiersze krótsze, dwu-stopowe, które mają budowę jednakową: pierwsza ich stopa liczy 3 zgłoski, druga jest dwuzgłoskowa. W takie szeregi rytmiczne układają się te wiersze, gdy je czytamy według zasad metryki klasycznej, t. j. każdą stopę rozpoczynając (w tym razie) od zgłoski akcentowanej. Inny nieco rytm uzyskamy, czytając wiersze na sposób rodzimy nowoczesny, t. j. uwydatniając granice wyrazów, o ile to jest możliwe np.

O biało- | skrzydła | morska | pławaczko,  
Wychowa- | nico | Idy | wysokiej i t. d.

Ale i tutaj zostanie główna zasada niezmieniona: każdy wiersz dłuższy liczy zawsze cztery akcenty, każdy krótki — dwa.

Od zasady akcentowania pierwszej zgłoski musimy się niekiedy uchylić w stopie pierwszej, jak to widać np. w wierszu: »Mo-

kreml | słonych | wód ścież- | kami«. Takich wierszy wyjątkowych mamy 9 na ogólną ich liczbę 41, a więc około 20%. Jest to — jak łatwo możemy się przekonać z późniejszych tego rodzaju utworów — charakterystyczna właściwość polska, że nawet wtedy, kiedy objawia się w wierszu wyraźne dążenie do jednostajności w rozłożeniu akcentów, cząstki wierszowe 3-zgłoskowe mają akcent nieustalony, t. j. odpowiadające klasycznym daktylom lub amfibrachom (akcentowane na trzeciej od końca, czy też na przedostatniej zgłosce) uważają się za jednostajne.

Wątpić trzeba, czy Kochanowski domagał się od aktorów, by wymawiali »Mokremi« z akcentem na trzeciej od końca zgłosce; on tylko zużytkował dla swych celów akcenty poboczne, które istotnie padają na pierwszą zgłoskę wyrazów więcej niż 3-zgłoskowych np. »Wychowa-nico«.

Ta pierwsza niewątpliwa i — jak się zdaje — na długie lata jedyna próba pisania polskimi niby metrami bynajmniej nas nie razi, gdyż nie gwałci praw językowych tem bardziej, że najczęściej granice stóp w wierszach wypadają albo w środku wyrazów 5-zgłoskowych albo też razem z granicą wyrazu. Różnic iloczynowych w polszczyźnie ówczesnej wcale już nie było, to też Kochanowski utożsamiał zgłoskę akcentowaną z długą, a nieakcentowaną z krótką samogłoską.

Być może, iż już przed Kochanowskim w r. 1522 Hieronim Spiczyński naśladował wiersz elegijny w pieśni, którą wydał przy »Żywocie Pana Jezu Krysta« Baltazara Opecia, gdyż inaczej trudno przypuścić, żeby autor sam w swoim utworze zdołał jakąś jednostajność rytmu pochwycić. Przytaczamy dla przykładów cztery pierwsze wiersze:

Owszejki | człowiecze | posłuchaj | upomi- | nania | mego.

Jesli wier- | nie miu- | jesz || stworzycie- | la swę- | go.

Bowiem kto | chowa sło- | wa moje | w wnętrznosci | serca | swęgo,

Nie uku- | si na wie- | ki || ognia pie- | kielne- | go.

Nietylko byłaby tu siekanina wyrazów bez żadnego względu na akcenty, ale przytem te heksametry i pentametry byłyby i przez to fałszywe, że pierwsze liczą stale po 16, a drugie po 13 zgłosek; równość ich jednakże nie da się uchem stwierdzić przy zwykłym czytaniu.

Dziwnem się może wydać, dlaczego byśmy koniecznie tu mieli się dopatrywać metrów klasycznych, skoro te przedstawiają się tak dziko. Jedną przyczynę już wymieniliśmy, t. j. że można otrzymać takie niby heksa- i pentametry, a nadto że inną drogą niepodobna

dosłuchać się tu jakiegoś rytmu ze względu na brak stałych średniówek; drugą przyczyną, upoważniającą nas do takiego przypuszczenia, jest fakt ukazania się literalnie takich samych wierszy w wieku XVIII; przecież nietylko genialne, ale i dzikie pomysły powtarzają się nieraz w historii. Mianowicie w r. 1781 ks. Tadeusz Nowaczyński wydał w Warszawie dziełko p. t. »O prozodji i harmonji języka polskiego«. Zywcem przeniósł, a raczej usiłował on przenieść do polszczyzny zasady metrów klasycznych, wmawiał więc w czytelników, że koniec jednego a początek drugiego słowa miarę harmonijną składać może, »i owszem to daleko wdzięczniej i melodyjniej do ucha przypada, gdy pomienione miary z słów na słowa zachodzą« oraz, naturalnie, podtrzymywał mniemanie, że każda zgłoska, na którą pada akcent główny lub poboczny, jest długa, wszystkie zaś inne — krótkie; Kopczyński pierwszy tę zasadę wprowadził do gramatyki. Nowaczyński wreszcie tak samo, jak przypuszczalnie Spiczyński, nie wahał się gwałcić akcentu polskiego przynajmniej tam, gdzie sobie inaczej poradzić nie umiał, jakkolwiek — rzecz prosta — starał się także według możliwości godzić akcent wierszowy z wyrazowym. Dlatego też, ażeby dowieść istnienia polskich daktyłów nietylko w połączeniach wyrazowych, ale i w wyrazach oddzielnych, wybierał trzyzgłoskowe akcentowane na zgłosce trzeciej od końca. Zaliczał do nich przedewszystkiem złożone z jednozgłoskowym imieniem w części drugiej np. *Białowąs, białozor, Białystok, Bogumił, Carogród, częstokroć, czterykroć, Czarnolas, czworogran, cudotwór, dobrodziej, dziewostąb, gołowąs, kołowrot, korowód, mięsopust, Ostroróg, pędziwiatr, samontór, Starogród, samostrzał, samochód, sowizdrzał, Wielkanoc, wieloryb* i t. d. także *pięcioro, drugi raz, bylejak...* wreszcie formy czasownikowe *robiłem, chodziłeś, robiłbym* i t. d. Formy czasu przeszłego znalazły się tu zdaje się nie dla tego, żeby je tak wymawiano, ale ponieważ »mówimy: *czasemem wskórał*«, a więc na podstawie wymawiania form podobnych, mających w pierwszej części (przed *-em*) formę nieczasownikową.

Te są podstawy teorii Nowaczyńskiego; a jakże się przedstawia u niego ich praktyczne zastosowanie? Czerowiersz z jego dzieła wyjęty najzupełniej odpowie na to pytanie:

Państwō pā- | łac i | krōl jĕst | kãżdý z nich | cudotwōr | świãtã,  
 Głowã krōl | państwō mō- | cã || sztukã przĕ- | dzĭwnã pã- | łac.  
 Przy pōwō- | dzĕniũ twō- | jĕm tĕn | pałac wy- | niĕsiōn dō | szczytu  
 Wiersz lĭ przĕ- | chōdzi miã- | rĕ, || pałac przĕ- | wýższã swō- | jĕ.

Zaprawdę poezja warta rytmu, a rytm poezji. W obu też względach i Spiczyński dorównywa Nowaczyńskiemu: *ambo meliores*. Był jeszcze i trzeci, co chciał iść tą drogą, ale zabrakło mu chyba niewiele odwagi, ile chęci do wystąpienia publicznego. Mamy tu na myśli ks. Adama Czartoryskiego, który jednak nie stał na stanowisku tak bardzo skrajnym praktycznie, jak Nowaczyński, choć teoretycznie zgadzał się z nim prawie w zupełności. Myśli swoje w tym kierunku wyraził w rozprawce, dotychczas rękopiśmiennej, zachowanej w archiwum rodzinnem, a przeto szerszemu ogółowi nieznaney p. t. »O niedostatku i potrzebie prozodji w polskim języku«, napisanej ok. r. 1820<sup>1)</sup>. Autor wychodzi z założenia, że w utworach językowych przeznaczonych do śpiewu tekst powinien się stosować do muzyki. Protestuje on przeciwko twierdzeniu Kopczyńskiego, że przedostatnia zgłoska w wyrazie zawsze jest długa i że na tem jedynie prozodja polska zaczyna się i kończy; ponieważ zaś z takim postawieniem sprawy »żadną miarą muzyki zadowolić nie zdoła.., stąd wypada potrzeba szukania w naturze pierwiastkowej harmonji języka: jakie zgłoski oprócz przedostatnich zdolne być długimi t. j. z długą nutą w śpiewaniu zgodzić się, jakie zaś zgłoski koniecznie krótkimi pozostać muszą«.

Na czem się jednakże oprzeć w tych poszukiwaniach? Autor odpowiada, że użył do tego trzech sposobów: 1) probowania, które dźwięki nadają się najlepiej do przedłużania w śpiewie, 2) obserwacji żywej mowy, zwłaszcza kiedy mowa się wyraża »w namiętnych wykrzykach, w zapalanej kłótni«, 3) na wskazówkach własnego ucha przy próbach, »które wymawianie własny słuch koniecznie odrzuca, a które ścierpieć, a nawet z upodobaniem przyjąć może«. Sposób pierwszy i trzeci jest właściwie tenże sam i nie ma żadnej wartości, jako czysto podmiotowy; drugi jedynie byłby miarodajny; toteż spostrzeżenia, oparte na pierwszym i trzecim sprawdzanie pomijamy, ograniczając się tylko do spostrzeżeń drugiego rodzaju. »Co do kilkossilabnych słów — czytamy w rozprawie — zwyczaj zadawniały przedostatnią czyni koniecznie długą, co więc za prawidło w powszechności przemagające przyjąć musimy«, co autor zaznacza z przykrością, gdyż to daje mowie »przewlekłą harmonją, która do wyrażenia uczuć smętnych, serdecznych i poważnych przydatna być może, lecz która mniej się godzi z namiętną, żywą, lekką dykcją, mającą wydać ruch, czyn, energją, szybkość«.

Zmiany akcentu zwykłego pod wpływem przyczyn szczegó-

<sup>1)</sup> Uprzejmości koleżeńskiej prof. dra Józefa Kallenbacha zawdzięczam sposobność zapoznania się z tą rozprawką.

ných autor zaznacza przedewszystkiem w wypadkach zauważonych podczas ćwiczeń wojskowych: »w komendzie podczas musztry akcent prozodjalny koniecznie musi być na ostatniej. Przeciąganie przedostatniej nie może się z ruchem, z mocną wolą i nakazem impetycznym pogodzić«. Zauważa też, że w wokatywach zwłaszcza w wołaniach akcent łatwo przenosi się na zgłoskę ostatnią, która wtedy się przedłuża, np. *Tekluniuu! Jędrzejuu!* co mniej wyraźnie występuje w liczbie mnogiej; podobnie dzieje się w imperatywach. Wreszcie też czytamy: »prowincjonalne niektóre zwyczaje mowy oddalają się od zwyczajnej kantyleny i po większej części są zgodne z zasadami dopiero wyrażonemi. Cała Galicja, gdzie najlepiej po polsku mówią, inaczej kładzie akcent w niektórych przypadkach verbów«. I tak Galicjanin mówi: *kochałem, bywałem, przyjechałeś* (ale tylko w rodzaju męskim, bo tu zachowuje się taki akcent, jak w formie 3. osoby np. *kochał, bywał* i t. d. gdy *kochałaś* według *kochała*). Naturalnie ks. Czartoryski nie zapomina i o wyrazach obcych, akcentowanych na 3. od końca zgłosce, np. *Sokrates, Kupidyna, Wenera, geometryja, melancholija...*

Prócz tych długości autor wynalazł jeszcze wiele innych w polszczyźnie i odpowiednio do tego zaczął pisać wiersze metryczne, np. heksametry, które tak u niego wyglądają<sup>1)</sup>.

Często | mawiał oj- | ci**ec**: tyś | winna mi | zięcia, o | córo;  
 Często | mawiał oj- | ci**ec**: pra- | wnuków, o | Dafne mi | winnaś.  
 Ona | jakby zbro- | dnia**ę** we- | sela | brzydząc się | ogniem  
 Wieczne ja- | gody | lic wsty- | dliwym na- | maszcza szkar- | łatem  
 I pieszco- | nemi bar- | ki na | szyi | ojca zwie- | szona:  
 Ach, wiecz- | nego do- | zwol ro- | dzicu | — rzekła — ko- | chany  
 Użyć dzie- | wictwa; nie- | gdyś do- | zwolił to | ojciec Dy- | janie.

W tych wierszach wszystkich taka nienaturalna długość, czyli raczej akcent nienaturalny wypada zawsze przed cezurą, ale gdzieindziej bywa też inaczej. W porównaniu do Nowaczyńskiego postęp tu ogromny, bo choć iloczias rzekomy kłóci się niekiedy ze zwykłym sposobem wymawiania, zachodzi to stosunkowo rzadko, wiersze dość gładko się czytają i nie robią przykrego wrażenia, o ile czytamy je, nie uwydatniając zbyt wyraźnie stóp, których granica wypada w środku wyrazu.

Nie gwałcił natomiast wcale naturalnych akcentów Brodziński, który także naśladował miary starożytne pod wpływem teorii Józefa

<sup>1)</sup> Litera tłusta wyraża samogłoskę akcentowaną wbrew zwyczajnemu wymawianiu.

Elsnera (Rozprawa o metryczności i rytmiczności języka polskiego, szczególnie o wierszach polskich we względzie muzycznym. W Warszawie 1818). Otóż Brodziński dla zilustrowania poglądów Elsnera na różne typy zwrotek w rytmie: trochaicznym, adonicznym, safekim i daktylicznym, tak zmienił utwór swój p. t. »Muza wiejska«, że utworzył on szereg 16-wierszowych zwrotek, w których w jednakowej kolei powtarzały się czterowiersze, ułożone w wyżej wymienionych rytmach. Przytaczamy tu pierwszą zwrotkę:

Jestem rodem | z cichej wioski,  
 Mnie pasterki | wychowały.  
 Nieznająca, | co to troski,  
 Przebiegałam | łąki, skały.  
     Raz siadłam | obok | strumienia,  
     Ubrawszy | czoło | kwiatami,  
     Po myśli | snułam | marzenia  
     Przyjemne | lubo | ze łzami.  
     Wnet jakby | się jawnie śniło:  
     Nieznany | mię Bóg zachwyca,  
     I serce | mi w łonie biło.  
     I zorze | oblało lica.  
     Czucie i | miłość tak | błoga  
     Mówić za- | częła wśród | łona,  
     Chciałam nieść | uścisk do | Boga,  
     Ziemie w me | objąć ra- | miona.

Jednak w zastosowaniu zasad klasycznych do wiersza polskiego niby-miarowego pierwszy po Kochanowskim przewyższył wszystkich Mickiewicz. (C. d. n.)

*J. Łos.*

## O starożytności języka polskiego

w świetle ostatnich badań nad stanowiskiem języków germańskich.

Pod tytułem powyższym postaram się czytelnika nie-językoznawcę zaznajomić pokrótce ze zmianą, jaka się niewielu ostatniemi laty dokonywa w poglądach na stosunek języków germańskich do innych, wchodzących w skład rodziny indoeuropejskiej. Zobaczymy, co stąd za wniosek płynie w sprawie języków słowiańskich, a zatem i polskiego. Oczywiście, nie idzie tu wcale o starożytność w tem znaczeniu, w jakim biorą ten wyraz patrijotyczni językoznawcy bez złotych ostróg naukowych, twierdząc, że ich to właśnie język ro-

dzinny jest tym, którym mówiono przed wszystkimi innymi, a te inne, których tyle na świecie, powstały albo z niego, albo w każdym razie po nim. Czyż może być język starożytniejszy niż albański? pyta z zachwytem taki patrijota-gramatyk, Albańczyk włoski. Chodzili ludzie przed wiekami po tym bożym świecie i »entusiasmati della bellezza della natura« wołali głośno: *dhe! die! kiel!* ('ziemia'; 'słońce'; 'niebo' z łac. *caelum*), a że to są wyrazy albańskie, więc dowód jak na dłoni. Taki sam dowód, jak ten, że w raju mówiono po polsku, bo *Adam* to *jadam*, a *Ewa*—*jecha*. Albo że pierwszy rodzic nazywał się *Skruszyła*. Ale to są przecie stare bajki, powie czytelnik, w które dzisiaj nikt nie uwierzy. Otóż właśnie dlatego wziąłem za przykład owego Albańczyka, ażeby pokazać, że takie bajki rodzą się jeszcze za dni naszych i że wychodzą w świat nakładem największych i najpoważniejszych firm wydawniczych (*Grammatica albanese con le poesie rare di Variboba del Prof. V. Librandi, Medjolan, Hoepli, 1897*). A skoro tak, to widać ów podkład uczuciowy, na którym się owe banialuki plenią, i dziś jeszcze, jak przed laty, pobudza do pracy pisarskiej. Właśnie o to idzie i właśnie do roli tego tła uczuciowego musimy nawiązać nasz wywód. Uczucia takiego Albano-włocha, w zasadzie zresztą pochwały godne, utrzymane w granicach patriotyzmu literackiego i nie wpływające na żadną akcję polityczną nikomu wody nie zamąca, a towarzyszące im twierdzenia »naukowe« są tak dziecinnie nieporadne, że rzadki czytelnik tej książki odłoży ją z uśmiechem i tyle. Ale takie samo uczucie patriotyczne, chwalebne i niezbędne, zaczęło w ostatnich dziesiątkach lat przegradzać się u potężnych narodów w coś, co niejednokrotnie przestaje być patriotyzmem, a nabiera cech jakiegoś szału dzikiej żarłoczności. Przodowały światu w tym względzie Anglja i Niemcy. Mniejsza o Anglję, bo tam się owa zaborczość objawia w formach, których w artykule językoznawczym niema potrzeby rozważać. W Niemczech natomiast, gdzie nauki teoretyczne uprawia się zawodowo i na wielką skalę, wtargnął agresywny szowinizm i w dziedzinę wiedzy, w wypadkach ostrzejszych wprost jako wyznanie wiary, głośno proklamowane i jak można stosowane, w łagodniejszych jako tło uczuciowe, wspólne ogromnym rzeszom uczonych, nawet ludziom osobście najzacniejszym, w intencji naukowej zupełnie bezstronnym, a doskonale umiejącym zażywać nowoczesnych metod badania.

Tych parę zdań wydało się na miejscu, ażeby zrozumieć podkład uczuciowy słynnej szkoły »rasologów« niemieckich, o której — wtrącając mimochodem — bardzo dobrze informuje jeden z ostatnich artykułów L. Gumplowicza w warszawskim »Przeglądzie historycznym«. Chorążym tej szkoły, albo raczej tego ruchu umysłowego,

jest (dziś może lepiej mówić: był?) głośny ex-Anglik — rodem kury czubate — St. H. Chamberlain, pisarz wcale utalentowany, wprawdzie bez mocnych podstaw naukowych, ale z tem ognistym temperamentem publicystycznym. Główna teza tych ludzi brzmi: najzdolniejszą i ze wszech miar najwybitniejszą rasą na świecie są Germanie, których znowu najczystszymi przedstawicielami są Niemcy. Skoro zaś tak, to wniosek oczywisty, że co tylko i gdzie tylko posiada wartość kulturalną, tam należy się doszukiwać bezpośrednich lub przynajmniej pośrednich wpływów tej arcy-rasy. Zaczęto ich się doszukiwać we wszystkich dziedzinach. Prym wiedli starożytnicy i prehistorycy z głośnym Kossinną na czele, którzy ustalili niezawodny sprawdzian germańskości: słuszny wzrost, niebieskie oczy, długie jasne włosy i tam jeszcze parę dodatków. Modus procedendi był dość prosty. Na wszelkie dokumenty szlacheckie ducha ludzkiego reagowano hasłem: »cherchez l'Allemand!« to znaczy, czy niema tam gdzie śladów słusznego wzrostu, albo jasnych włosów albo niebieskich oczu? Są? a zatem — I sprawa rozstrzygnięta bez apelacji. Dotąd byli ludzie zdania, że to Germanie, od Cymbrów i Teutonów począwszy aż do różnych Gotów i Wandalów, zniszczyli kulturę świata klasycznego. Pokazuje się, że to oni właśnie ją stworzyli, trochę przedtem, ale w takich samych najazdach. »Solchen Vorstößen von Raubbanden und Wanderscharen entsprangen die klassischen Kulturstätten des Altertums«. A dowód w tem, że w kulturze greckiej wystąpiła jedna cecha umysłowości germańskiej, mianowicie »der ungestüme Freiheitsdrang«, w rzymskiej zaś druga, t. j. »die militärische Disziplin und die aufopfernde Treue für das Gemeinwesen«. Tak rozumował za przewodem rasologów niemieckich nieżyjący już G. Ratzenhofer (Soziologie, Lipsk 1907, str. 44), socjolog bardzo samodzielny i oryginalny, choć pokutujący za brak gruntownego wykształcenia; nie dziwota — generał austriacki. I jakże mu nie wierzyć? Wszak Apollo był notorycznie blondynem, a w Rzymie czy to jedna flava Chloe zawracała głowy poetom? Inny znów tropiciel śladów germańskich rozstrzygnął lat temu dobrych kilkanaście na łamach programowej »Politisch-anthropologische Revue« sporną kwestję istnienia dantejskiej Beatryczy w ten sposób, że (żyła czy nie żyła) w każdym razie była Germanką, bo miała ponoć jasne włosy. O tem, że sam Dante był właściwie Niemcem, mówi się tylko mimochodem, jako o czemś niepodlegającym wątpieniu: wszak pradziad jego, Cacciaguida, żonaty był z Lombardką nadpadańską. Nie wiem, czy miała ona sposobność czytać jeden z pierwszych zabytków poezji patriotycznej włoskiej, pisany po prowansalsku, bo jeszcze wówczas po włosku nie pisywano, który w namiętnych stro-



fach wzywa »Lombardów do broni!« przeciw... »buldogom niemieckim«. Ale mniejsza o to. Szkoda zresztą wogóle rozwodzić się nad całą sprawą, dość — ale i konieczna — było na nią wskazać. Zakończę tylko jeszcze ten ustęp zupełnie świeżym przykładem, który warto poznać, bo się dość blisko wiąże z kwestją językową. Mam na myśli trzytomowe dzieło prof. Schroedera z Wiednia, p. t. »Die arische Religion« (dotąd dwa tomy, Lipsk 1914 i 1916). Autor jest bardzo wybitnym indologiem, nie tylko uczony, ale i bel-esprit w najlepszym znaczeniu tego wyrazu. Z językoznawstwem nowoczesnym obeznany. Więc też czekało się z ciekawością zapowiadanej książki — korony badań długiego żywota —, mającej przedstawić zapas wierzeń pierwotnych, wspólnych ludom związanym pokrewieństwem języków, które częściej nazywamy indoeuropejskimi, a które prof. Schroeder wraz z wielu uczonymi nazywa aryjskimi. Zawód na całej linii! A spaczyło książkę przede wszystkim zapisanie się pod sztandar Chamberlaina. Z pomienionym sprawdzianem — wzrost, oczy i włosy — przed oczyma, akaparuje najpocześniejszy osobiście człowiek na rzecz Niemców wszystko, co tylko ludy (mówmy dla krótkości) indoeuropejskie przejawiały wybitnego w zakresie wyobrażeń religijnych. I to w jaki sposób! Oto np. Ormianie, włosy jak smoła, oczy detto, wzrost średni, typ wogóle bardzo wyrazisty. Ale prof. Schroeder przytacza naiwnie, już nie wiem za kim, rzekome twierdzenie rzekomo najstarszego historyka ormiańskiego, jakoby mityczny praojciec Ormian, Hayk, był niebieskookim blondynem. I koniec, krew germańska stwierdzona<sup>1)</sup>. Albo z Indjami: im kasta wyższa, t. zn. im mniej zawiera krwi tubylczej, a więcej aryjskiej, tem płeć jaśniejsza; u rycerskich Radżputów trafia się nawet typ omal że nie modrookiego blondyna, a zatem, rozumuje autor, wśród aryjskich zdobywców Indyj musiał istnieć typ germański. Ani mi w głowie przypuszczać brak dobrej wiary. Ale że autor przymykał oczy na fakty, to przymykał. Naprzód bowiem, nawet najja-

<sup>1)</sup> Nawet gdyby wiadomość była prawdziwa, nie byłby to żaden dowód. Ale dość otworzyć wielkie wydanie krytyczne tego historyka, Mojżesza z Chorenu (Tyflis 1913, str. 32), ażeby zobaczyć, że ani jeden warjant rękopiśmienny o czemś podobnym nie mówi. Mityczny Hayk był xaytakn i khadžagangur t. zn. (o żywym (bystrem) spojrzeniu i 'pięknych kędziorach'. Bystrość nie rozstrzyga przecie o barwie oczu, a za piękne włosy uchodzić mogą u ludu czarnowłosego chyba nie inne, jak właśnie czarne. Zresztą nie tylko Hayk jest wytworem legendy, ale i Mojżesz wierutnym bajczarzem. Uważa się go nawet za mistyfikatora, który świadomie antedatował swe dzieło o kilka wieków (t. j. w V). Rzecz powszechnie znana; prof. Schr., który jako Niemiec bałtycki umie po rosyjsku, powinien był zajrzeć do najważniejszej monografji, G. Chalatianc, *Армянский эпос и исторія Армении Моисея Хоренскаго. Опыт критики источниковъ*. Moskwa 1896.

śniejszej kompleksji bramin pur-sang jest jeszcze ciemniejszy od smagłych Europejczyków, a oczy i włosy ma czarne, powtóre zaś, czyż jest indolog wolny od chamberlainowskiej idée fixe, któryby mógł zapomnieć, że kasty Radżputów, Dżatów i podobne, to w znacznej mierze potomkowie najeźdźców środkowo-azjatyckich, z jakiej połowy pierwszego tysiąclecia po Chr. i później? Byli między nimi Hunowie, Turcy i wiele innych szczepów — tylkoż nie Germanie! Prawda, był tam i typ jasny, ale jak pozytywnie wiemy (małowidła! od germańskiego różny<sup>1)</sup>).

Dosyć tego wstępu. Wypadł trochę przydługo, ale niezbędny był w przypuszczeniu, że czytelnikowi sprawy takie są naogół obce. Idźmyż dalej.

Wiadomo, że językoznawstwo nowoczesne, t. zn. sięgające mniej więcej lat sto wstecz, poczyniło postępy nadzwyczajne i o ile w grę wchodzi formalna strona badania, zbliżyło się do pewności i dokładności metod cechujących nauki ścisłe. W tym rozwoju ogromna rola przypadła Niemcom. Produkcja ich górowała i wciąż góruje ilościowo, a jakościowo dopiero w bieżącym wieku — pominawszy oczywiście bardzo liczne wyjątki osobiste dawniejsze — zaczęli uczeni zagraniczni, zwłaszcza francuscy, ławą doganiać nie mieckich. Nic dziwnego przeto, że wobec tej przewagi uczonych niemieckich dominowało w językoznawstwie także ich tło uczuciowe, jako świadome lub nieświadome podłoże, na którym rysowały się kierunki naukowe i z którego wychodziły wytyczne badań. Dźwignią życia ludzi uczonych, tak samo jak wszystkich ludzi jest treść uczuciowa ich psychiki, nigdy zaś jakieś konstrukcje rzekomo czystej pracy intelektualnej. Dopiero pewien wybór wyników tej pracy, podejmowanej w cichem lub jawnem skojarzeniu z najrozmaitszym tłem uczuciowym, składa się na rezultat dostępny wszystkim narodom. choć znowu najrozmaiciej przez nie wyzyskiwany. Taka tylko istnieje międzynarodowość nauki, innej niema, chyba w ustach frazesowiczów. Czyż więc mogli uczeni niemieccy wątpić o tem, że języki germańskie są krwią z krwi i kością z kości indoeuropejskiego typu językowego, skoro nosili w duszy przeko-

<sup>1)</sup> W ciągu długoletniego obcowania z pisarzami staroindyjskimi niesłychanie rzadko zdarzało mi się spotkać u nich wzmianki o jasnych włosach (np. Buddhacarita XIII 21; Prabhacandrodāya, Kalkuta 1874, str. 73, zwrotka), a i to przystraja niemi fantazja tylko jakieś nadprzyrodzone wiedźmy i podobne nie-ludzkie stworzenia. Brak nawet wyrazu, któryby tłumaczył nasze »blond«. Mówi się w tych rzadkich wypadkach, że włosy były »czerwonawe« albo »dymne (czy: ogniste) jak u małp«. Ideal piękności: oczy czarne, włosy krucze, pleć złota i wargi jak korale.

nanie, coraz potężniejsze, że ten słuszny, niebieskooki, jasnowłosy Germanin zajmuje naczelne miejsce między ludami, które mówią językami indoeuropejskimi? Zapewne, najstarsze pisane zabytki językowe germańskie są stosunkowo młode, o wiele dawniejsze, a przytem ponad porównanie bogatsze i donioślejsze są zabytki indyjskie, greckie, irańskie, italskie, mniej więcej zaś równe co do wieku, a daleko ważniejsze ilościowo i kulturalnie — ormiańskie. Więc też języki germańskie znane są w późniejszych, niż tamte, fazach rozwoju. Mimo to, w najstarszych zabytkach wygląd mają wcale starożytny. Jakże wiernie stosunkowo przechował się w nich obraz wymiany samogłoskowej w konjugacji! Tylko stara greka może iść w zwycięski paragon. Albo ślady prastarego akcentu! Stwierdzenie ich było wypadkiem rozstrzygającej doniosłości w rozwoju nauki. Przytem języki germańskie zdawały się leżeć w ognisku tego rozległego obszaru językowego, na którego ukrainach działały wpływy podłoża etnicznie obcych. Podłoże takie dawało się nawet bez wielkiego trudu wykazać historycznie u Indów, Greków czy Italów. O tem, żeby istniało kiedy u Germanów, nie było wiadomo. Języki germańskie, choć znane od niezbyt dawna, zdawały się niewątpliwie wcale czysto reprezentować starożytny typ językowy indoeuropejski. Boć dany typ językowy jest odbiciem w mowie czynników rasowo-kulturalnych, kształtujących psychikę ludności. Gdzie te czynniki najmniej złożone, tam i dany typ najczystszy. Przyznać nawet trzeba, że językoznawcy niemieccy ogółem wcale nie przesadzali w podkreślanu takiego wniosku, częścią może dlatego, że uważali go za oczywisty, częścią niewątpliwie dlatego, że nie przywiązywali do niego, jako uczeni, osobliwej wagi, praca ich bowiem naukowa zorjentowana była przeważnie w kierunku do chodzeń ściśle formalnych. Wyszuli wniosek taki z wielkim hałasem i ze wszystkimi konsekwencjami dopiero archeologowie i prehistorycy szowiniści a la Kossinna. Ale oni właśnie wywołali reakcję, do której teraz przejdziemy. (Dok. n.).

*A. Gawroński.*

---

---

### Rozbiór językowy *Ojzenasza.*

Obok teorii niezbędna jest praktyka naukowa; po uniwersytetach służą jej w naukach przyrodniczych laboratorja, w naukach humanistycznych seminarja. Na seminarjach lingwistycznych analizuje się teksty; idzie o to, by na kawałku języka p o k a z a ć, jak się dochodzi do tych uogólnień, o których się na wykładzie mówi jako o czemś

gotowem. Ale gdy w uniwersytecie mamy wykłady i ćwiczenia, to w książkach językoznawczych, tak ściśle naukowych jak i popularyzujących, mamy tylko typ pierwszy; kto się więc chce czy musi uczyć sam, skazany jest wyłącznie na teorię. Otóż w niniejszym szeregu artykułów podaję nie omówienie jakiegoś wybranego zjawiska językowego lub wybranej grupy zjawisk, ale rozbiór określonego tekstu, czyli urywka języka, w którym więc trzeba sobie zdać sprawę ze wszystkich szczegółów tak, jak one są dane. Chcę pokazać, jak się zabierać do językoznawczego zrozumienia go i do poradzenia sobie samemu z temi zjawiskami, które się w nim napotka. Mówię »samemu«, bo właściwie każdy człowiek, umiejący obserwować i myśleć, może analizować swój język ojezysty: przecież idzie tu tylko o uświadomienie sobie tych prawideł, któremi się faktycznie wciąż posługuje.

Do rozbioru wybrałem *Ojczenasz* nie przypadkiem, ale z pewnych określonych powodów, które później wskażę. Analizuję go zaśtak, jakby go mógł analizować każdy ogólnie wykształcony i umiejący myśleć naukowo Polak, choćby nie posiadał żadnych wiadomości z gramatyki naukowej. Nie wymagam więc od czytelnika zupełnie znajomości ani innych języków słowiańskich, ani historii języka polskiego; przeciwnie, raczej ta analiza ma być wstępem do zrozumienia zjawisk historyczno-porównawczych. Poziom będzie taki, jaki stosuję na samym wstępie ćwiczeń seminaryjnych dla tych początkujących, co ze szkoły średniej bardzo rzadko przynoszą elementarną choćby umiejętność patrzenia na zjawiska językowe, o wiele częściej zaś zamącony mają zdrowy sąd mechaniczną nauką gramatyki szkolnej.

Analizę zacząć trzeba od zdania sobie sprawy z części składowych danego urywku, po czym przystąpić można do przyglądania się zachodzącym między niemi stosunkom. Dzielić zaś można tekst czy to na części znaczeniowe, czy też na części głosowe. Wbrew zwykłe stosowanemu porządkowi zaczynam od pierwszych, jako przystępniejszych i, na początek, bardziej zajmujących.

### I. Analiza części znaczeniowych.

#### Ojcz e.

Że *ojcze* dzieli się znaczeniowo na dwie części, jest zupełnie jasne: *ojcz* wyraża treść pojęcia, *-e* wyraża, że się do niego zwracamy, a więc jeden z możliwych naszych do niego stosunków. Nie wynika stąd jednak, by to pojęcie lub ten stosunek musiały być wyrażone bezwzględnie zawsze w ten sam sposób, przeciwnie, te

znaczeniowe części wyrazu: *ojcz-* i *e* mogą przybierać inną postać, czy to tylko nieco zmienioną pod względem głosowym, czy też zupełnie odrębną.

*ojcz-* występuje zwykle w postaci *ojc-*, widocznej dla nas prawie we wszystkich innych przypadkach; mówimy: *ojc* | *a*, *ojc* | *u*, *ojc* | *em*, *ojc* | *owie*, *ojc* | *ów*, *ojc* | *om*, *ojc* | *ami*, *ojc* | *ach*, a tylko w jedynym wołaczu liczby pojedynczej mamy *ojcz-* i tylko w mianowniku tejże liczby mocno odrębną postać *ojciec*, mimo swej dwuzgłoskowości znaczeniowo niepodzielną. Zdawałoby się, że skoro *ojc* występuje w ośmiu różnych formach, a tak *ojcz-* jak *ojciec* tylko w jednej, to głównym znakiem omawianego pojęcia winna być ta właśnie postać. Tymczasem każdy czuje, że równie łatwo łączy to znaczenie z tą najodrębniejszą postacią, jaką jest *ojciec*, a znacznie słabiej z o wiele mniej zmienioną *ojcz-*. Przyczyną jest oczywiście częstość używania tej postaci, w zwrotach jak: *to mój ojciec*, *ojciec przyszedł* i t. p. Nie są one prawdopodobnie rzadsze od zwrotów: *dom mego ojca*, *daj ojcu*, *byłem z ojcem* i wskutek tego forma tak odrębna od wszystkich innych, i to odrębna w sposób niespotykany zresztą w naszym języku, trzyma się jednak silnie i bynajmniej nie ulega jakimś tendencjom do zmiany; naodwrot, zobaczymy, że ściśle w tej postaci istnieje względnie od niedawna. Zaznaczam, że nie przypadkiem podałem tu tylko zwroty z formami liczby pojedynczej; uczyniłem to dlatego, że liczby mnogiej używa się przeważnie w znaczeniu przenośnym: *ojcowie* = 'przodkowie', i to tylko w stylu podnioslejszym, potrzeba zaś mówienia o *ojcach* w zwrotach jak np. *ojcowie często sa słabi dla dzieci* napewno nie codziennie się trafia. — Najrzadszą jest postać *ojcz-*, bo nie tylko ograniczona jest do jednego przypadku, ale w dodatku do formy w życiu codziennym rzadko używanej. Bo przecie dzieci nie używają jej prawie nigdy: ich wyrazami, nierzadkimi też u dorosłych, są: *tato tatusiu*, *tateczku...*, gdy np. pochodna od *ojcze* forma *ojczulku* jest nieco sztuczną. Częściej używają formy *ojcze* dorośli, ale dorośli bardzo często już ojców nie mają. A w warstwach niezupełnie władających językiem literackim przeważnie chyba słyszy się w znaczeniu wołacza formę mianownika: *ojciec* (lub *ocieć*), *weźcie no!* Wobec tego kto wie, czy gdyby nie codzienny *Ojczenasz*, forma ta nie byłaby uległa zanikowi. W każdym razie mamy tu do czynienia z formą niezupełnie należącą do zwykłego języka domowego, ale z formą już nieco literacką.

Idzie teraz o to, czy takie istnienie obok siebie albo — jak się to nazywa w gramatyce — taka »boczność« postaci jak *ojc* i *ojcz-* jest w języku polskim odosobnioną, czy też spotyka się ją częściej. Bez trudu znajdziemy podobne przykłady: *młodzieniec*

*młodzieńca* || *młodzieńcze*<sup>1)</sup>, *malca* || *malcze*, *głupiec* || *głupcze*, *leniwiec* || *leniwcze*...; przeciw nim stają inne na *-c*, jak *głuszec*, *wyjec*, *piec*, *kloc*, *kuc*..., w których ewentualny, rzadko używany wołacz, brzmi *głuszc*, *piec*, *kloc*... Pomnożywszy jeszcze przykłady obu kategorii, zobaczymy, że otrzymujemy zupełnie jasne, choć nieco złożone правило: *-c* wymienia się na *-cz* w tych rzeczownikach osobowych, w których przed *c* jest »ruchome« (t. j. raz pojawiające się, raz ginące) *-e* i które mają w wołaczu końcówkę *-e*; te trzy okoliczności: głosowa (istnienie przed *-c* ruchomego *e*), odmienne (zależność od końcówki *-e*, czego nie możemy uważać za okoliczność głosową, bo przed *e* końcówki narzędnika *-em* oboczności niema: jest *głupcem*, nie *\*głupczem*<sup>2)</sup>) i znaczeniowa (istnienie zjawiska tylko w rzeczownikach osobowych), bezwzględnie się z sobą łączą. Takie ujęcie pravidła jest jeszcze czysto zewnętrzne, skoro nie dowiadujemy się z niego, dlaczego między temi właśnie okolicznościami taki zachodzi związek. Ale by to zrozumieć, trzeba by się uciec do porównawczej gramatyki języków słowiańskich, co nie wchodzi w zakres naszych rozważań. Dla nas wystarczy przekonanie, że nie mamy do czynienia z czemś luźnym, przypadkowym, ale z jakąś prawidłowością, że dotknęliśmy jakiegoś stałego systemu. Ponieważ zaś do tak samo zakończonych rzeczowników zawsze taki sam utworzymy wołacz, choćbyśmy go nigdy przedtem nie użyli, np. *opilec* || *opilcze*, *niemrawiec* || *niemrawcze*, przeto musimy stwierdzić, że pravidło to istnieje w nas potencjalnie, że je w danym razie zawsze zastosujemy; takie pravidło czy taki stosunek między dwiema formami nazywamy »ż y w y m«.

Zostaje nam forma *ojciec*. Jak ją objaśnić? Uciekamy się oczywiście do innych rzeczowników tegoż typu i na wzór *młodzieniec* *młodzieńca* wnosimy, że dopełniacz winien brzmieć *\*ojcca*, czyli że *ję* jest istotną częścią składową tego wyrazu, a tylko w innych przypadkach grupy *\*jęc* *\*jęcz* uprościły się na *ję*, *jęcz*. Rozumowanie na pozór słuszne, a jednak nie odtwarza ono historii tego wyrazu. Możemy się natomiast do niej zbliżyć, poszukawszy trochę poza dzisiejszym językiem ściśle literackim. Oto niejeden z nas słyszał ludową formę *ociec* i prawdopodobnie uznał ją za »zepsutą«, poprostu dlatego, że jest inna niż obowiązująca w piśmie i druku. Ale nie bądźmy tak pochopni: każdy sąd trzeba przecie uzasadnić. Tymczasem każdy z nas czytał przecie »Pana Tadeusza« i niejeden dobrze pamięta słowa Sędziego w księdze III:

<sup>1)</sup> || jest znakiem oboczności.

<sup>2)</sup> gwiazdką \* oznaczamy formy nieistniejące, ale potrzebne nam do toku wykładu.

»...Pan Jacek, brat mój, Tadeusza *ociec*  
Dziwny człowiek, zamiarów jego trudno *dociec*«.

Przeważna część czytelników napewno powiedziała sobie po prostu, że to *licentia poetica*, nie wchodząc wcale w dociekanie, czy taka licencja jest wogóle zupełnie dowolną czy też i ona musi mieć jakieś podstawy. Kto się chce o tem poinformować, niech przeczyta moje studjum »Z historii polskich rymów« (Warszawa, Towarzystwo naukowe, 1912). Tymczasem zaś niech zajrzy do Słownika Lindego, a dowie się, że *ociec* jest formą starszą niż *ojciec*. Do *ociec* dalsze przypadki brzmiały oczywiście *oóca*, *oócze*... Jak z nich powstały *ojca*, *ojcze*, o tem powiemy niżej, przy omawianiu wyrazu *winowajcom*, teraz już jednak widzimy, że *j* dostało się do mianownika przez wyrównanie czyli — jak się zwykle mówi w gramatyce — przez »analogję« do innych przypadków. — Ale i na tem nie koniec: skoro do form jak *kojca w kojcu*, *ogrojca w ogrojcu* mianownik zamiast starych *kociet*, *ogrodziet* brzmi *kojec*, *ogrojec*, a nie \**kojciot*, \**ogrojdziet*, przeto *ojciot* przecież inaczej został utworzony! Tak jest, mamy tu istotnie do czynienia z postacią indywidualną i z tem się trzeba zawsze w języku liczyć. Przyczyny zaś należy szukać w innych warunkach życia tego właśnie wyrazu. Mianowicie *kociet*, *ogrodziet* używały się bez żadnego porównania rzadziej, niż zwroty: *kury w kojcu*, *zapędź je do kojca*, niż stały zwrot *pan Jezus w ogrojcu*, nie więc dziwnego, że tym częstym formom uległy. Tymczasem *ociet* długo trzymał się mocą swego codziennego występowania, a gdy się wreszcie, ostatecznie dopiero w XIX w., zmienił pod wpływem *j* wszystkich innych przypadków, stało się to przez umieszczenie *j* nie zamiast *ó*, ale obok tej głoski, zbyt zakorzenionej w językowej pamięci ogółu, by ją można było usunąć.

Poznaliśmy więc na tym wyrazie: 1) istnienie w obrębie jednej odmiany prawidłowej oboczności głosek (tu *c* i *cz*), 2) wpływ jednych form danego wyrazu na inne czyli analogiczne wyrównania w obrębie szeregu form związanych wspólnem zasadniczem znaczeniem, 3) istnienie wyrazów, wybijających się z pod ogólnego jednolitego traktowania. Ścisłe biorąc, każdy wyraz jest czemś odrębnem i każdy ma swą indywidualną historję, ale tylko nieliczne mają indywidualność dostatecznie silną, by się mogła tak wyraźnie zaznaczyć. Mamy więc i ogólne zasady i wyjątki, które jednak trzeba za każdym razem wytłumaczyć.

Dodajmy jeszcze, że obie główne postaci omawianego pierwiastka istnieją też w wyrazach pochodnych: *ojc*- mamy w *ojc* | *ow* | *sk* | *i* i *ojc* | *ow* | *izn* | *a*, *ojcz*- w *ojcz* | *yst* | *y*, *ojcz* | *yzn* | *a* i *ojcz* | *ul* | *ek*.

Dlaczego te pochodne tworzą się raz od *ojc*, drugi raz od *ojcz*, na to znów na podstawie samej tylko obserwacji dzisiejszego języka odpowiedzieć nie można: istniejące niegdyś przyczyny tego zjawiska z biegiem pokoleń zatarły się i dziś widzimy tylko ich skutki. Różna nieco postać pierwiastka nie przeszkadza oczywiście tworzyć wszystkim tym wyrazom jednej grupy, którą możemy nazwać rodziną wyrazów.

Drugą częścią wyrazu *ojcze* jest *-e*, wyraźne znamię wołacza liczby pojedynczej rzeczowników męskich. Nie jest to jedyne znamię tego przypadku: zupełnie to samo w innych razach wypowiada końcówka *-u*. Zakres użycia każdej z nich da się ująć niemal zupełnie ściśle: *-e* mają osnowy zakończone na spółgłoskę t. zw. »twardą«, np. *pies psie*, *brat bracie*, z wyjątkiem zakończonych na tylnojęzykowe *k, g, ch, (h)*, które wraz z zakończonymi na t. zw. »miękką« mają *u*, np. *ptaku, rarogu, głogu, Wojciechu*, jak *wuju, kłocu* i t. p.; bo spółgłoska *c* należy w odmianie rzeczowników, prócz omawianych wyżej osobowych z *e* ruchomem, do »miękkich«. To stan dzisiejszy, który każdy może sprawdzić na samym sobie. Czy jednak stan ten jest zupełnie nieruchomy? Nie, każdy znajdzie tu najpierw dwa wyjątki: bezwzględny wyjątek *boże* i dowolny: *człowiecze* obok *człowieku*, przy czem widoczna, że forma *człowiecze* jest rzadsza. Dalsze zastanowienie powie nam, że choć Mickiewicz pisał jeszcze w »Switeziance«:

»Dochowaj *strzelcze*: to moja rada«,

w »Powrocie taty«:

»*Kupcze*, jedź w miasto — ja do lasu muszę«,

w »Farysie«:

»*Jeźdcze*, koniu, pusta praca«...,

to jednak dziś, w rzadkich wypadkach użycia wołacza do tych słów, niejeden powie raczej: *strzelcu, kupcu, jeźdźcu*, i to mimo, że bezwzględnie na *-e* zakończy wołacze często używane takichże rzeczowników osobowych na *-ec*, np. *chłopcze* lub *głupcze*. Widać stąd, że poza zakończonymi na »twardą« nietylnojęzykową *-e* trzyma się tylko w formach często używanych, że więc jest już do pewnego stopnia archaizmem. Historia języka powie nam, że dawniej mówiło się też *Wojcieszce, święty Dusze*, czyli że powolne zmniejszanie się ilościowe wołaczy na *-e* zaczęło się już dawno.

Dla nas tu najważniejsze jest stwierdzenie, że obok form bezwzględnie obowiązujących istnieją też formy będące w trakcie zanikania.



## n a s z.

*nasz* jest formą znaczeniowo niepodzielną. Możemy ją wprawdzie zestawzić z formami *nas*, *nam*, *nami* i wydzielić z nich wspólne *na-*, o znaczeniu niemal temsamem co *my*, ale z pozostałym *-sz* nie połączymy żadnego wyraźnego znaczenia. Musimy więc poprzestać na stwierdzeniu, że *nasz* należy do tejże rodziny wyrazów, co wyżej wymienione formy, co najwyżej, że szczególnie blisko łączy się z formą dopełniacza *nas*; blisko łączy się z nią i znaczeniowo, jak wogóle przymiotniki dzierżawcze z dopełniaczami (*suknia mamina* = *suknia mamy*), i głosowo, *sz* bowiem jest w częstej oboczności z *s* (np. *piszę* || *писаć*), ale z tego wszystkiego nie wynika jeszcze żadne tego *-sz* znaczenie.

## k t ó r y ś .

*któryś* dzieli się przedewszystkiem na *który* i *-ś*, potem dopiero możemy podzielić *który* na *któr* i *-y*. Podziały to najwidoczniej nierównorzędne, bo *któr* | *y* to podział na dwie części znaczeniowe wyrazu, natomiast *-ś* jest samo dla siebie wyrazem, tylko że wyrazem nie mogącym stać samodzielnie, ale koniecznym opierającym się o wyraz poprzedni; dlatego też położyłem przed nim znak

Znaczenie *-y* jest jasne: to końcówka mianownika męskiego u przymiotników. częściowo też, jak tu właśnie, u zaimków. Ale której liczby to końcówka? Ponieważ w liczbie mnogiej mamy *którz* | *y*, a podobny stosunek zachodzi np. między *dobr* | *y* a *dobrz* | *y*, przeto widoczne, że część znaczenia liczby mieści się też i w ostatniej spółgłosce pnia. Gdy sobie nadto uprzytomnimy typy jak *tak* | *i* i *tac* | *y*, *mał* | *y* i *mal* | *i*, *głup* | *i* i *głup* | *i*, to przekonamy się, że rozróżnianie liczb mianownika męskiego osobowego w żadnym razie nie zależy od samej końcówki, ale — o ile się one wogóle różnią — od poprzedzającej spółgłoski, należącej już do pnia. Cecha to bardzo znamienna języka polskiego, nieznaną łacinie, francuskiemu, niemieckiemu... Przy dalszej analizie zmusi nas ona do rozszerzania nieraz pojęcia końcówki przynajmniej na część ostatniej głoski pierwiastka czy osnowy.

*któr-* jest znaczeniowo niepodzielne. Podobnie jak było przy *nasz*, łączymy je wprawdzie wyraźnie z *kto*, wydzielając z nich wspólną część *kt-*, o znaczeniu pytajnym, że jednak nie możemy części *-ór-* przypisać żadnego znaczenia, przeto stwierdzamy tylko, że niepodzielne znaczeniowo *któr-* jest w jakimś związku z *kto*.

## -ś jest.

-ś *jest* znaczy oczywiście to samo co *jest* | *eś*. Pomijając *jest*, wyraźną podstawę znaczeniową tego wyrazu, występującą też w *jest* | *em*, *jest* | *eś* | *my*, *jest* | *eś* | *cie*, zająć się musimy »końcówką« -*eś* czy -*ś*; prosta rzecz bowiem, że każdy uzna ją za końcówkę 2. osoby l. p. Końcówka ta jednak przy bliższym przyjrzeniu się okaże się pełną osobliwością.

Przedewszystkiem jest ona właściwością tego tylko jednego czasownika, wszystkie inne bowiem wyrażają to samo pojęcie przez -*sz* (*niesie* | *sz*, *cierpi* | *sz*, *gada* | *sz*). Godna uwagi, że ta odrębność formy łączy się z odrębnością znaczeniową i funkcyjną czasownika *jest*, który, będąc też słowem posiłkowym, jest stanowczo najczęściej, bo codziennie bez końca używanym czasownikiem. Jeżeli sobie przypomnimy, że końcówka wołacza -*e* zachowała się ze wszystkich rzeczowników na -*k*, -*g*, -*ch* tylko w jednym *boże*, tak częstym i tak odrębnym zajmującym stanowisko, to zrozumiemy też, że omawiana teraz końcówka -*eś* czy -*ś*, jeżeli była kiedyś bardziej rozpowszechniona (a tego nas uczy gramatyka porównawcza choćby tylko słowiańskich języków), nigdzie nie miała tylu szans utrzymania się, co tutaj. Z punktu widzenia czysto opisowego jest ona w dzisiejszym języku wyjątkiem. Otóż »wyjątki« są to najczęściej pozostałości, przeżytki stanów niegdyś bardziej rozpowszechnionych, trafiają się zaś najczęściej w słowach szczególnie często używanych, bo w tych doszły do takiego zmechanizowania się, że nie ulegały już następującym potem niwelacjom. Tak się miała rzecz z *boż* | *e*, tak też z *jest* | *eś*.

Drugą cechą tej osobliwej »końcówki« jest jej ruchomość. Mogę powiedzieć: *który* | *ś jest* lub *który jest* | *eś*, a w czasie przeszłym, którego jest ona też składnikiem: *jak* | *eś napisał* lub *jak napisał* | *eś*. Co więcej, może ona najzupełniej zastąpić całą formę *jesteś*; mówimy przecież: *dobry* | *ś!* *głupi* | *ś!* *człowiek* | *eś jak inni* i t. p., przy czym to -*ś* lub -*eś* = *jesteś*. A więc to chyba nie końcówka, lecz osobne słowo? Istotnie tak, na co jeszcze dowód głosowy. Oto wiemy wszyscy, że formy *jestem* i *jesteś* bardzo często wymawia się jako *jezdem* i *jezdeś*: w Wielkopolsce i w Małopolsce jest to wymowa niemal powszechna, bo spotykana u ludzi z najstaranniejszym wykształceniem humanistycznym, bezskutecznie nieraz tępiąca w szkole; a nierzadka ona i w innych częściach Polski. Nikt rozsądny nie przypuści oczywiście, by tak uparcie tkwiąca wymowa była prosto »błędem«, nie mówiąc już o tem, że nawet błąd musi mieć swoją przyczynę. W tym wypadku przyczyną jest t. zw. położenie »mię-

d z y w y r a z o w e«, ściślej: uleganie wpływom głosek zaczynających następny wyraz. Mianowicie pod wpływem następujących samogłosek udźwięczniają się w całej Wielkiej i Małej Polsce spółgłoski wyraz kończące, przez co powstaje wymowa: *jag oni przyszli, piez i kot, lizd Eugenji* i t. p.; nigdy natomiast nie trafia się taka zmiana w środku wyrazu. Widoczna więc, że *jezd | em* (i *jezd | eś*) poczuwane jest przez wielu ludzi nie jako jeden, ale jako dwa wyrazy i dlatego mimowoli traktowane w wymowie taksamo jak *lizd Eugenji*.

Trzy argumenty więc, widoczne z dzisiejszego języka, przemawiają za uważaniem *-eś* za osobny wyraz: jego ruchomość, znaczenie = *jesteś*, zmiana głosowa wywierana na poprzedzające je *jest*. A historia języka to potwierdza: pierwotną formą 2. osoby l. p. słowa posiłkowego było w języku polskim *jes*; razem z imiesłowem przeszłym na *-ł* tworzyło ono czas przeszły, np. *był jes, robił jes*, z czego dzisiejsze *byłeś, robiłeś*, a na wzór tego powstało i *jest-eś*: bo *jest-eś* stoi do *jest* w tym samym stosunku, co *był-eś* do *był*.

Cechą odróżniającą ten wyraz od innych jest tylko brak samodzielności akcentowej: musi się on zawsze oprzeć o wyraz poprzedni, normalnie o pierwszy znaczący wyraz zdania. Oto przykłady, nietylko co do *-(e)m -(e)s*, ale też co do *-(e)śmy -(e)ście -by i się*, wszystkie one bowiem należą do tej samej grupy wyrazów bez samodzielnego akcentu, które z grecka nazywamy »enklitikami«. Tak więc każdy czuje, że w naturalnej mowie lepiej brzmi po polsku: *takem się zmęczył* niż *tak się zmęczyłem*, *dobrześ powiedział* niż *dobrze powiedziałeś*, *nigdyśmy tego nie myśleli* niż *nigdy tego nie myśleliśmy*, *nicby mi na tem nie zależało* niż *nic mi na tem nie zależałoby*, *dobrzebyście na tem wyszli!* niż *dobrze na tem wyszli-byście!*, *tak się nigdy nie mówi* niż *tak nigdy nie mówi się* i t. p. Względnie najmniej rażą zaniedbania co do liczby pojedynczej *-(e)m* i *-(e)s*, są one niemal dopuszczalne, gdy przykłady ze źle umieszczonymi *-by* i *się* rażą nawet niewybredne co do polszczyzny ucho. Wracając do »Ojczenasza«, stwierdzić trzeba, że *któryś jest* jest nietylko formą pierwotną, ale do dziś dnia lepiej brzmiącą niż *który jesteś*, że więc zwłaszcza w »Ojczenaszu« winna ona być zachowana. Dlaczego zwłaszcza w nim, o tem zaraz niżej.

w niebiesi | ech.

Że *niebiesiech* trzeba podzielić w oznaczony sposób, to wynika z form: *w Prusi | ech, we Włosz | ech, na Węgrz | ech, w Niemcz | ech*, z których jasno widać, że istnieje końcówka miejscownika l. mn. *-ech*. Kończówka to bardzo rzadka, wymienione wyrazy bodaj czy nie wyczerpują całego zakresu jej używania, i to z zastrzeżeniem, że obok

*w Prusiech* mówi się też zupełnie poprawnie *w Prusach*, ze zwykłą więc tego przypadku końcówką. Ponieważ już mieliśmy do czynienia z końcówką przypadkową nie powszechną, mianowicie z *e* wołacza l. p., przeto spróbujmy zastosować uzyskane już tam doświadczenie. Tamta zaważowana była ściśle pewną formą rzeczownika i pewnem jego znaczeniem (osobowem), ale w tym ograniczonym zakresie była końcówką żywą. Ta nie ma żadnego ograniczenia formalnego, znaczeniowo natomiast skrępowana jest jeszcze bardziej, bo używana jest wyłącznie w nazwach krajów, i to bezwzględnie tylko tych, które równocześnie mogą być nazwami ludzi, ich mieszkańców; czuje się, że idzie tu o rozróżnienie, że co innego, znaczy: *o Włoszech, na Węgrzech, w Niemczech*, a co innego *o Włochach, na Węgrach, w Niemcach*; a już *w Prusiech* nie jest formą bezwzględnie obowiązującą właśnie dlatego, że *w Prusach* nie wywoła dwuznaczności, bo mówiąc o ludziach, powiemy *w Prusakach*. Ponieważ wreszcie napewno nie zastosujemy tej końcówki przy żadnym nowoutworzonym rzeczowniku, a nawet nie używamy jej we wszystkich wymienionej formy i wymienionego znaczenia — tak np. mamy dwuznaczne *o Czechach*, zawsze z końcówką *ach* —, przeto musimy oznaczyć *-ech* jako końcówkę »martwą«. — Nawet teoretyczne rozważanie doprowadziłoby nas mogło do wniosku, że forma językowa martwa jest pozostałością, skamieniałym szczątkiem formy niegdyś żywej: bo przecie wszystko, co istnieje, musi mieć swą przyczynę; skoro zaś dziś tej przyczyny nie widzimy, przeto w systemie tak tradycyjnym jak odziedziczony po poprzednich generacjach język musiała ona działać w przeszłości, po czem działać przestała, my zaś odziedziczyliśmy tylko jej wytwór. W szerokiej mierze potwierdza to historia języka. Tak np. Kochanowski mówi w »Satyrze« (wiersz 63):

»Albo iż na kościelech złote były dachy«,

we »Fraszki« (I 92):

»Najdziesz w mych *rymiach* często napisane«,

i t. p., a jeszcze w w. XVIII szczątki jej liczniejsze były niż dziś, skoro i Krasicki i Naruszewicz piszą jeszcze *w czasiech*. Widzimy stąd, że była to końcówka częsta, i nawet nie wchodząc w zakres jej używania, stwierdzić możemy, że wcale nie była ograniczona znaczeniowo do nazw krajów, że naodwrot, nie utonąła w powszechnej dziś końcówce *-ach* tam tylko, gdzie mogąc posłużyć do wyróżnienia znaczeniowego, miała pewną wartość praktyczną.

Teraz rozumiemy już lepiej formę *w niebiesiach*, czujemy jej

archaiczność, zachowaną w »Modlitwie Pańskiej«, gdy w codziennem życiu bezwzględnie mówimy wyłącznie *w niebie*. Ale i pozostała po odrzuceniu końcówki rdzenna część wyrazu: *niebies* jest dziwna: można ją wprawdzie rozłożyć na *nieb-*, podstawę wszystkich zwykłych form, jak *nieb | a*, *w nieb | ie...*, i na jakieś *-ieś-*, ale z tem *-ieś-* żadnego nie skojarzymy znaczenia. Poprzestać więc musimy na stwierdzeniu, że wyraz ten ma osnowę albo *nieb-* albo też *niebies-* z obocznością *niebios-*, znaną z mianownika-biernika l. mn., brzmiącego w »Składzie apostołskim«: »wstąpił na *niebios*«, a w przyszłości: »psie głosy nie idą w *niebiosy*«; trafia się też forma *w niebiosach*, kombinacja dawnej postaci pnia z nową postacią końcówki. Głosowa oboczność *-ieś-* || *-ios-* nie powinna nas dziwić: znamy ją przecie z przykładów jak *nieś* || *niosę*, *wieś* || *wioska* i t. p. A wychodząc poza rzeczownik, pozostając jednak w obrębie rodziny wyrazów, znajdziemy jeszcze oboczność *niebies | k | i*. (D. c. n.).

K. Nitsch.

## BÓR I LAS.

(Dokończenie).

Z dawniejszych czasów wymieniam jeszcze następujące wyrazy, służące do oznaczenia lasu. Często używano wyrazu *zapust* albo *zapusta*. Linde zna go wyłącznie jako rodzaju męskiego. Tak też używano go w zapiskach sądowych wielkopolskich n. p. *rambili Woczechovem zapuszcze* (Lekszycki Die altesten gross-poln. Grodbücher II, 1986, 2038). Oznaczał on las młody, gęsty, jeszcze nie trzebiony, który się sam zapuścił. Używa się go dotąd we wschodniej Galicji, często w zdrobniałej formie *zapustka*. Jest on synonimem wyrazu *gaj* n. p. *gay sive zapust* (Lek. II, 2245), *zapusta alias gayum* (Helcel II 1691), ale także tłumaczy się przez *quercetum*. W zapiskach sądowych orłowskich, wydanych przez Pawińskiego, czytamy około r. 1400 *sambrebra, qui dicitur vulgariter zapust*, w innym miejscu *sabebra* (Teki Paw. IV, 359, 647). Czy *sambrebra* albo wyraz, który się pod tą pisownią kryje, jest pochodzenia polskiego? Istniał jeszcze wyraz *gozd* (Łoś Przegl. str. 30), jednakże nie wiemy, jaki las tem mianem oznaczano. O *nieprzebytych gozdach* pisze w Popiołach Żeromski, którego dzieła noszą wyraźne ślady obszer-nych studjów językowych. Wieś *Gozdowo* w W. Ks. Poznańskim i *Gozdno* w Krakowskim wzięły zapewne od *gozdu* swoje nazwy. Drzewo jako materiał budowlany albo materiał do wyrabiania drewnianych przedmiotów nazywało się dawniej *naczynie* n. p. w za-

pisce sądowej z r. 1441 *in lingna (ligna) alias naczynye* (Helcel II, 2977), z r. 1398 *Czador (Teodor) de Zagorzice contumax contra Petrum de Sedlecz pro decem marcis vadii et dampni pro silva, pro arboribus vulgo naczynye receptis de silvis* (Helcel II, 149). W tem znaczeniu czytamy wyraz *naczynie* jeszcze w końcu szesnastego wieku n. p. *tu w Lublinie mi się mistrz trafiał, który mi tokarstwo pokazywać usiłował i naczynie nadarzał* (Czechowicz u Brücknera Różnowiercy pol. II, 265).

Las składający się z jednego rodzaju drzew przybiera szczegółową nazwę od nazwy tychże drzew. I tak las dębowy nazywa się *dąbrową* albo *dębiną*, u Zimorowicza także *dąbnikiem*, las olszowy *olszyną*, dawniej także *olsznicą* n. p. *silva dicta alnetum alias olsznica* (z r. 1474), las brzozowy *brzezina*, las bukowy *buczyna* (w lustracji starostw ruskich z r. 1565 *bukowina*, co dało pochop do nazwy kraju *Bukowina*). Lasy z innych rodzajów drzew może dawniej istniały i miały także osobne odpowiednie nazwy. Las jaworowy, o którym wspomina Zbylitowski (»jest nad przezroczyстым zdrojem las jaworowy«) zwał się *jaworzyną*, która to nazwa jako imię własne na ziemiach polskich dość często się powtarza. Resztki lasów lipowych, zwanych dawniej *lipinami*, istnieją w Zachodnim Beskidzie. Modrzew nie tworzy obecnie większych grup i używany jest do wysadzania granic lub dróg n. p. wspaniała aleja modrzewiowa istnieje na Haraju, wzgórzu rozciągającym się nad Żółkwią, sadzona według podania rękami Jana Sobieskiego, ale dawniej tworzył może osobne lasy, co zdają się potwierdzać nazwy różnych miejscowości. Cis, uważany w piętnastym wieku za drzewo *magni valoris et pretii*, występował tylko w mniejszych grupach wśród innych lasów, ale istniała zapewne zbiorowa nazwa na gaj cisowy, która brzmiała *ciświna*, od której pochodzi nazwisko rodowe Ciświckich. Istniał dawniej wyraz *laskowiec* oznaczający gaj z lasek, istniał wyraz *wirzbina*. W zapisce sądowej ze wschodniej Galicji jest wzmianka o *grabinie, osinie, lipinie, brzezynie, jaworzynie* jako o lasach *jałowych, nierodnych*. Za rodne uchodzą dąbrowy i buczyny, bo dają żołądzie i bukwy jako paszę dla świń.

Tu jest miejsce dla wyrazu *bór*. Już z przeglądu połączeń, w jakich wyrazy *las* i *bór* mogą się znachodzić, wynika, że *bór* jest szczegółową nazwą lasu, podobnie jak wymienione wyżej szczegółowe nazwy. Z jakich drzew złożony las nazywa się borem, tego tradycję zachował przyrodnik pijarski Remigjusz Ładowski w swej Historji naturalnej z r. 1780 i 1783. Mówi bowiem: *Lasem się zowie, gdzie rośnie wiele drzew bez uprawy i sadzenia*. Dalej dodaje *gdzie*

*sośnina rośnie, zowie się bór*<sup>1)</sup>. Tak więc dochodzimy do właściwego znaczenia wyrazu *bór*. *Bór* jest lasem sosnowym, czyli znaczy to samo, co *sośnina*. Jeżeli więc Bielski w Kronice Polskiej pisze: *śłup muirowany nad temże jeziorkiem w boru stoi*, to rozumieć to trzeba o lesie sosnowym, bo w ogólnem znaczeniu Bielski zawsze wyrazu *las* używa. Tak samo jeżeli w Konst. z r. 1634 Władysław IV oświadcza, że ufundował klasztor Kamedułów *w boru naszym królewskim pod Warszawą*, to ma widocznie na myśli las sosnowy. W liście z r. 1652 Bielany nazwane są »Borem«: *król do Boru ad Camedulenses wyjeżdża*. Różnicę widoczną między lasem a borem przeprowadza lustracja starostw Rusi Czerwonej z r. 1565 (streszczona przez Aleksandra Jabłonowskiego Pisma IV). Bukowiny, jedliny, dąbrowy są nazwane *lasami*. Obok tego jest mowa o *borach* jako o odrębnych lasach. Z materiału borów robią się komiegi, z drzewa borów zbudowane są dwa zamki. Nad Bugiem, mówi lustracja, *jest las wielki i bór*, czyli obok lasu złożonego z drzew niesosnowych jest las sosnowy. Tak samo jak lasy i bory, zestawia lustracja także lasy i dąbrowy. Ponieważ sosny stoją w boru, czytamy *borowe sosny* (Niemcewicz Zbiór pam. I, 66).

*Bór* jako 'las sosnowy' podaje także słownik Knapskiego. W części łacińsko-polskiej z r. 1741 łaciński wyraz *silva* jest przetłumaczony tylko przez *las*; *pinus sativa* przez *sosna sadzona* w przeciwstawieniu do *pinus silvestris* albo *pinus suae spontis* (samosiewna, co sama wyrosła), które to wyrażenie przetłumaczone jest przez *sosna borowa*; pod *pinus silva* podane są dwa znaczenia: *bór* i *sośnina*. Tak samo w słowniku polsko-łacińskim z r. 1787 *las* jest *silva*; *bór* przetłumaczono *silva pinus*; *sośnina*, *sosnowy las* = *pinetum*, *pinus silva*.

A jakim sposobem *bór* doszedł do tego znaczenia? Co do tego nie mamy żadnych faktycznych wiadomości i musimy się uciec tylko do domysłów. Wyraz *bór* znachodzi się w południowej słowiańszczyźnie i znaczy 'sosna' (*pinus*). W czeskim języku *borovice* znaczy 'sosna', *borový* znaczy 'sosnowy'. Wyraz *bór* w znaczeniu jednostkowego drzewa był może kiedyś także w Polsce używany. Co prawda nie możemy tego stwierdzić z piśmiennictwa naszego, bo n. p. zapiska sądowa z r. 1434 zawiera: *quadraginta pinos alias dicendo sosny* (Helcel 2536). Na to znaczenie wyrazu *bór* mógłby wskazywać wyraz *borówka*, t. j. beczka do miodu z sosnowego, czyli bo-

<sup>1)</sup> Cytat ze słownika Lindego. W dwóch bibliotekach krakowskich, w których podług Lewickiego (Bibliografja Kom. Eduk. Nar.) książka Ładowskiego ma się znajdować, nie można było jej odszukać.

rowego drzewa, albo *szyszka borowa*, z którym to wyrażeniem czasem można się spotkać n. p. chłopcy uliczni śpiewali w Krakowie: *Tadeusz Kościuszko czerwone jabłuszko, a szyszka borowa to imperatorowa* (Estreicher Wspomnienia Ambrożego Grabowskiego Tom I, str. 64). Brückner cytuje z szesnastego wieku wyrażenie: *mieć za szyszkę borową* w znaczeniu 'mieć za nic' (Encykl. Pol. Akad. II, 81), a Potocki (Moral. II, 14) mówi: *ważne jak borowe szysze*. Feliks Baranowski z Marcinowa, starosta czorsztyński, pisze w dokumencie z początku siedemnastego wieku: *borów na domową potrzebę używannie mają wolne* (Rafacz. Starosta Baranowski. Pamięt. Tow. Tatr. 1914, str. 78), co by można rozumieć, że wolno używać drzew sosnowych, jednakże jest rzeczą wątpliwą, że *bory* w tem miejscu znaczą tyle, co 'lasy sosnowe'. Zapomocą bowiem pewnego rodzaju synekdoche, t. j. przeniesienia nazwy jednostki na całość, 'borem' nazywano las składający się z borów, t. j. sosien. Tak między innymi użyty jest wyraz *bór* u Jabłonowskiego (Pisma Tom IV, str. 216): *urwy gromadką sosien przyozdobione lub całe ich bory*. Skoro się to przeniesienie utrwaliło, a musiało to nastąpić stosunkowo rychło, zanikło znaczenie *boru* jako jednostkowej sosny, a wreszcie, jak widzieliśmy, zanikło także częściowo poczucie, co właściwie *bór* znaczy, tak że wyraz ten stał się poczęści synonimem *lasu*. Jasna i ogólna świadomość, co właściwie *bór* znaczy, widocznie bardzo rychło się ulotniła z języka literackiego i zachowała się tylko w ludowym.

Ponieważ większa część lasów polskich, zwłaszcza w okolicach nizinnych, składa się z drzew sosnowych, a więc jest właściwie borami, *bór* zajął uprzywilejowane stanowisko. Zamiast mówić o *lasach*, którym to wyrazem także *bory* są objęte, przyzwyczajono się odróżniać zwykłe polskie lasy, t. j. *bory* od lasów inndrzewnych, które nazywano *lasami*. Takie podniesienie znaczenia wyrazu *bór* mogło się dokonać chyba tylko w Polsce, gdzie lasy sosnowe przeważają. Konstytucja sejmowa z r. 1601 orzeka: *lasów abo i borów w mieście naszym Piotrkowskiem bardzo mało jest*, albo z r. 1607: *cudze lasy i bory najeżdżają*. W niektórych okolicach Polski, obfitujących w lasy dębowe, n. p. na Wołyniu, rozróżniano, jak się zdaje, lasy od dąbrów. Wreszcie, ponieważ dla wielu okolic *bór* był jedynym lasem, przyzwyczajono się uważać wyraz *bór* za identyczny z wyrazem *las*. Tak więc dokonało się rozszerzenie znaczenia wyrazu *bór*.

Warto jeszcze na to zwrócić uwagę, że, gdzie się te dwa wyrazy zestawiało i zestawia się obok siebie tylko dla oczywistej pełności wyrażenia, bez chęci uwydatnienia jakiejś różnicy, wyraz *bór* wyprzedza *las*, gdzie zaś mówi się o lasach w ogólności, a wyszcze-



gólnia lasy sosnowe, porządek jest odwrócony. Zdaje się, że co innego znaczą *bory i lasy*, a *lasy i bory*.

Wyrazy *las* i *bór* są nawet terytorjalnie rozdzielone. W okolicach nizinnych, gdzie przeważają sosny, mówi się o *borach*, a człowiek pilnujący ich zowie się *borowym*, w górach, gdzie lasy sosnowe są rzadkością, przeważa wyraz *las*, a pilnujący lasu nazywa się *leśnym* (w niektórych okolicach *gajowym*). Nad górnym Dunajcem »borami« nazywają się torfowiska, zawierające w sobie dużo zmorszonego drzewa, n. p. na Olczy pod Zakopanem. Może to dawniejsze lasy sosnowe. Jeszcze dzisiaj las sosnowy większych rozmiarów rozciąga się tuż pod Nowym Targiem<sup>1)</sup>. U pisarzy polskich stosownie do ich pochodzenia przeważa jeden lub drugi wyraz. Galicjanin Krasicki, o ile zauważyłem, używa tylko wyrazu *las*. Konopnicka w opisie Polesia raz tylko użyła wyrazu *las*, zresztą mówi zawsze o *boru*. Asnyk *borem* nazywa las, w którym prócz sosien rosną dęby: *a bór nam szumem dębów swych i sosien śpiewał jak stary rycerz Wajdelota*.  
A. Danysz.

Pożądane są dalsze przyczynki, zwłaszcza z różnych okolic i od ludzi, zżytych z przyrodą. Ja chciałbym wziąć w obronę ogólniejsze znaczenie *boru* jako lasu szpilkowego. W okolicy Mogilan (na południe od Krakowa) we wsi Konary lud używa wyrazu *borowiec* w znaczeniu drzewa szpilkowego wogóle, w przeciwstawieniu do drzew liściastych, a *borowiec* toć to drzewo *borowe*. Podobnie Wincenty Pol, który znał dobrze kraj i język, określa *bory* jako szyszkowe lasy, a *lasy* jako liściaste (Obrazy z życia i natury, Serja II, 355); a następnie (tamże 358 i nast.) wywodzi, że różne nazwy lasów (oczywiście z wyjątkiem liściastych *buczyn*, *dębin*, *brzezina* i t. d.) nie tyle pochodzą od różnych drzew, ile od różnicy drzewostanu, jego wieku i znaczenia, tak, że ten sam niby co do rodzaju drzewa las sosnowy nazywa się zależnie od tamtych właściwości *choiną* (*chojniakiem*), *zielonym lasem*, *borem*, *sośniną*, *puszczą* i *sośniakiem*. Ustęp odnoszący się do *boru* brzmi tak (360 nst.): »widząc jednostajne sosnowe lasy, pokrywające całą okolicę, pytam: — To u was tu widzę sośniny? — Nie, Panie — odpowiadają mi — to *bory*. — Dlaczegoż to *bory*? kiedy to *sosny*... Odpowiadają na to: — *Zrodzajów sosny*; ale las rośnie na runie *borówek* i my na-

<sup>1)</sup> Ale te torfowiska, jak zwłaszcza ogromne *bory* pod Czarnym Dunajcem są torfowiskami bezleśnymi od niepamiętnych czasów! Wydobywa się z nich jeszcze i dziś pnie ogromne, ale nietylko sosnowe: owszem, bardzo często także jodłowe i inne, jak mnie o tem upewnił prof. Józef Kantor, pochodzący z Czarnego Dunajca. — J. R.

zywamy to *borem*; — a jest *bór głuchy*, póki w gąszczach młode stoją drzewa — i *rozmowny*, jak się las z wierzchu odsadzi, a spodem wyczyści; pole też po wykarczowanych borach nazywamy *borowiną*, bo po runie borówek zostaje czerwoniawa urodzajna ziemia, która i trawą porasta i dobrze jakiś czas rodzi — a po *sośninach* nic nie będzie jak żywy piasek«. Zwraca też Pol uwagę, że w Beskidach sosna w ślad za brzozą wypiera nie tylko buczynę, ale i jodłę i świerk; w każdym razie trzeba uwzględniać i moment historyczny. Zapraszamy wszystkich, mających coś do powiedzenia w tej sprawie, aby nie chowali światła pod korcem, tylko naśladowali dobry przykład p. Danysza.

J. R.

Prof. Danysz w artykule »Bór i las« JP IV 2 p. 33 sądzi, że Kochanowski nie robił widocznie różnicy między temi dwoma wyrazami co do znaczenia, jak można wnosić z wierszy »Satyra«:

Wieście z borów do Wisły burtnice i ławy,  
Palcie lasy na popiół, rąbcie na wańszosy.

Czy możnaby tu bez szkody dla myśli przestawić te oba wyrazy? Wprawdzie *burtnice* (nie *bartnice*, jak przez pomyłkę wydrukowano) do obijania ścian statku robili tak z bali sosnowych jak i dębowych, ale *ławy* na dno statku wodnego były tylko sosnowe, *popiół* na handel zyskiwano tylko z drzew liściastych, a *wańszosy* (wańczosy) czyli klepki na handel zagraniczny łupano z dębów. A więc Kochanowski niewątpliwie rozróżniał *bór* sosnowy (czy iglasty) od *lasu* liściastego. Do »rzeczy« cf. sv. w Słowniku leśnym... W. Kozłowskiego, Warszawa 1846—7.

A. Kleczkowski.

---

### Język „familijny“.

(Dokończenie).

Drogą umowy także może powstać przynajmniej część wyrazów w tajnym języku. Swojskiego przykładu na fakt umowy nie mam na razie pod ręką, więc sięgam po niemiecki z komersów burszów, na których każdy uczestnik musi otrzymać nazwę »piwną« (Biername) i tylko z pomocą piwnego, komersowego przezwiska przewodniczący zabawy odzywa się do przezwanego. A że trudno odrazu wpaść na dowcipny przydomek dla świeżych przybyszów czyli nowowpisanych do burszenszaftu »fuksów« lub dla gościa zaproszonego po raz pierwszy, więc sypią się rozliczne projekty, by-

walcy »sadzają się« na komiczne określenia delinkwenta, a przewodniczący przyznaje pierwszeństwo najlepszemu. Odtąd przewisko przyklepia się nieodłącznie do uczestnika i wraca z każdym komersem.

Przypuszczać należy, że nie inaczej bywało i w XVI wieku w życiu cechowym z »przemiankami«. Przeczytajmy ciekawy i charakterystyczny ustęp ze znakomitej książki Władysława Łozińskiego o »Patrycjacie i mieszczaństwie lwowskim«: »Dla niektórych rzemieślników Lwów był pewnym rodzajem akademii, do której towarzysze z najdalszych stron Polski musieli się udawać po dyplom doskonałości w swej sztuce. Tak akademią był np. lwowski cech mieczników, który obok cechu krakowskiego miał prawo nadawania t. z. przemianków czyli przesyneków towarzyszom tej sztuki w całej Polsce, tak że miecznik, choćby warszawski lub poznański, nie uchodził za doskonałego w rzemiośle, jeśli we Lwowie lub Krakowie nie został »kreowany« towarzyszem i nie otrzymał przemianka t. j. przewiska, które już potem zostawało muna zawsze. Taki sam przywilej posiadali stolarze lwowscy, do których wszyscy towarzysze z Podola i Ukrainy udawać się musieli po przemianki« (str. 375). Łoziński powołuje się tu na fakty z roku 1590 i 1593, zawarte w aktach radzieckich Lwowa. Może bliższy w nie wgląd i przejrzanie statutów cechowych odkryłoby sposób nadawania przewisk.

Wspomniałem o stopniowym przyswajaniu pojedynczych wyrazów przez wszystkich członków rodziny. Dodać jeszcze należy, że często, ale niezawsze, z zadowoleniem się wyrazu idzie w parze utrata mniejsza lub większa jego komizmu. Odcień pierwotny, wybitnie komiczny i żartobliwy, nieraz nawet noszący ślady umyślnego »polowania« na oryginalność, z wolna w miarę częstego używania usuwa się na plan drugi, a wyraz zdobywa sobie takie samo stanowisko, jakie posiada każdy inny w mowie codziennej pozbawionej humorystycznego pierwiastku. Obcego zawsze pobudzi do śmiechu jaskrawość słownika »familijnego«, swoi przyzwyczaili się już do jego komicznej strony.

Ważną cechą żywotności języka jest semazjologiczna żywotność wyrazów t. j. fakt rozszerzania lub uszczuplania ich znaczenia. Już w *zycbadzie* widzimy, jak stopniowo zakres jego znaczenia się zwiększył od posiedzenia towarzyskiego czy familijnego do wszelkiego rodzaju zebrania. Jeszcze bujniejszych losów doznał wyraz *gziula*. Utworzony od *gzić się* oznaczał w chwili przyjścia na świat małego psa, który robił figle czyli *gził się*. Stąd rozszerzyło się pierwotne znaczenie. Z jednej strony *gziula* stała się synonimem wszystkiego, co małe, filigranowe, z drugiej strony oznacza wszelkie figle, za-

bawę, wesołość, wesołą rozmowę. I znowu z obu nowych znaczeń powstaje trzecie pośrednie: każda zabawka dla dzieci. Naodwrot, przeciwny objaw mamy w słowie *tępić kogoś* = nie lubić kogoś lub coś, np. *tępię sos chrzanowy, tępię kalosze, tępię Mniszkównę* (t. j. jej powieści). Początkowe znaczenie zagłady, zniszczenia straciło dużo na swej srogości i spadło do symbolu stosunkowo niewinnego uczucia niechęci.

Dużoby jeszcze uwag można napisać o »życiu« naszego języka; każdy jego leksykalny składnik wymaga wytłumaczenia o pochodzeniu, rozwoju znaczenia, sposobie użycia, ale trudno znowu roz-wodzić się nad wszystkimi zagadnieniami w krótkim zarysie. Po-dają już tylko sam słownik, opatrując go w konieczne objaśnienia, resztę zaś czytelnik w swej duszy dośpiewa przy pomocy paru ogólnych uwag końcowych.

#### Słownik.

*akt*, (z języka malarzy) niekompletne ubranie, brak ubrania, np. *zobaczył jego akt*, zobaczył go nieubranego (ale nie gołego!).

*amiko*. miejsce ustępowe, klozet; *amiko się dławi*, jest zepsuty; z Esperanta, reminiscencja czasów, kiedy jeden z członków rodziny »palił się« do tworu dr. Zameuhofa. Nazwany tak dla nieodłącznego towarzyszenia w życiu.

*biust*. podolek, kolana, np. *siądź mi na biustcie*; także: *rzuciła mi się na biust*, uściśnęła mnie, *rzuciła mi się na szyję*.

*czego mi*, jest mi nijako, jestem w złym humorze <sup>1)</sup>.

*gnać dokąd*, iść, np. *gnać na wizytę*; z języka ulicy i studentów.

*goły*, niezupełnie ubrany, w nieukończonyj toalecie, np. *otworzyłem mu drzwi goły*; także: w nieodpowiednim na wizytę ubraniu.

*Grazer*, *Józef Grazer*, klozet; nazwisko właściciela fabryki owych przedmiotów wypisane na nich; *iść do Grazera*; *odwiedzić Józefa*; *Grazer chory*, klozet się zepsuł.

*gziulka*, *gziulka*, p. wyżej.

*chrapiulek*, chrapanie, drzemka; *urządzić chrapiulka*, zdrzemnąć się; *wieczny chrapiulek*, śmierć, np. *zrobił wieczny chrapiulek*.

*jadaczka*, usta, twarz.

*kąpać sobie*, kąpać się, np. *jadę nad morze kąpać sobie*.

*kłębić się*, tłumić się, chodzić tu i tam, bawić się, stać przy kim, np. *kłębił się koło panien*; także: czuć się niesamowicie, znajdować się w przykłej sytuacji, chcieć się wycofać z niemiłego po-

<sup>1)</sup> może w związku z przysłowiem o Polaku złym z powodu głodu.

łożenia, siedzieć jak na szpilkach, np. *kłębił się wpadłszy na schadzkę*.

*konać*<sup>1)</sup>, śmiać się do rozpuku, np. *konał nad Pantagruelem*; zdumiewać się, np. *ujrzawszy parkę pod palmą stanął i skonał*.

*konkurent*, każdy młody człowiek bywający na zebraniach towarzyskich.

*korzystny, korzystny kapelusz*, do twarzy, *korzystny konkurent*, miły gość itd.; używane wskutek przedrzeźniania komicznej ciotki postępującej się nadmiernie tym przymiotnikiem.

*kotłować się*, p. *kłębić się*.

*krokodilo*, teściowa, z Esperanta, za pośrednictwem jakiejś gazety humorystycznej.

*krzepki*, dobrze się trzymający, np. *krzepki konkurent*; *krzepką ręką kogoś przyjąć*, uderzyć, wyrzucić za drzwi; *krzepko gnał*, szybko szedł; *krzepko go obił*, *krzepko go przyjął*.

*Lancaster, hrabstwo Lancaster*, klozet, gdyż pochodzi z fabryki używanej tej marki; *podróżować do Lancastru*, *zwiedzić Lancaster*, *złożyć wizytę hrabstwu*.

*małpizson*, brzydki człowiek.

*mięczak*, człowiek nikły, mizerny.

*mordament*, twarz.

*nagi*, p. *goły*.

*obszturkiwać kogo*, bawić kogo rozmową, nadszakać komu, np. *konkurent obszturkiwał dziś korzystnie pannę Zosię*.

*oszaleć*<sup>2)</sup>, zdumieć się, np. *zobaczył jak Aś obszturkiwał Zofijkę i oszalał*.

*padaczka*, śmiech, pęknięcie ze śmiechu; z powodu ruchów wykonywanych w czasie wybuchu wesołości; *padać*, śmiać się do rozpuku, np. *padał w teatrze*.

*paja*, usta, np. *rozdziawił paje*.

*pastran*, niezgrabny mężczyzna; *pastrana*, niezgrabna kobieta.

*pękać*<sup>3)</sup>, śmiać się gwałtownie, np. *pękł na zycbądzie*; *pękaczka*, szalony śmiech, np. *dostał pękaczki*.

*piernik*, *piernikarz*, niedołęga; znane powszechnie w tem znaczeniu.

*piła*, nudziarz; *piłować*, nudzić; znane dość powszechnie.

*pluć*, gardzić, czuć niechęć, np. *pluje na kino*.

*plawić się*, kąpać się.

*poniewierać kim*, *sponiewierać kogo*, skrzyczeć, dać upomnienie.

*porubstwo*, wszelka zabawa, chodzenie do cukierni, włóczenie się.

<sup>1)</sup> t. zw. zgęszczenie znaczenia; w zwykłej mowie: *konać ze śmiechu*.

<sup>2)</sup> w zwykłej mowie: *oszaleć ze zdumienia*.

<sup>3)</sup> w zwykłej mowie: *pękać ze śmiechu*.

- pół dukata pół papieża*, ta część ciała, na której się siedzi.  
*rozpina się o co*, rozechodzi się o co, np. *o co ci się rozpina?*  
*ruja*, okres, kiedy się ma pieniądze na chodzenie do cukierni, teatrów itd.; *płodzić porubstwo w czasie rui*, włóczyć się w czasie przyływu monety.  
*ryczeć*, śmiać się do rozpuku.  
*ryjek*, usta, twarz.  
*rznać*, iść, np. *rznę na wikt*; z języka ulicy.  
*rzucić w kogo talerzem, cukrem, widelcem* itd., podać komu talerz itd.  
*siedzieć komu na kolanach*. mówi się, gdy jest ciasno, lub gdy jest dużo osób, np. *siedział Zosi na kolanach pan X. na kanapie*.  
*splawić*, sprzedać, np. *splaw mi książkę*; por. *flota*, pieniądze.  
*spodnie, spodnica*, w wyrażeniach: *siądz na własnych spodniach*, *usiądz na spodnicy*, usiądź, spocznij.  
*suszka*, sucha, szczupła kobieta.  
*szaleć*<sup>1)</sup>, zdumieć się, gniewać; także kręcić się, niepokoić się; to samo, co *kłębić się*.  
*talary*, pieniądze, np. *weź od ojca talary*.  
*tarzać się*<sup>2)</sup>, śmiać się gwałtownie; zdumieć się; kręcić się niespokojnie.  
*tępić kogo*, p. wyżej.  
*walić*, iść, np. *walić na imieniny*; z języka ulicy.  
*wiać*, iść, np. *wiać do teatru*; *zwiąć*, odejść, np. *zwiął po angielsku*.  
*wikt*, jedzenie, uczta, np. *idę dziś na wikt do Władzi*; *prosić gości na wikt*.  
*wiktować się*, chodzić na proszony obiad, kolację itd.  
*wjechać z pyskiem na kogo*, skrzyczeć kogo; z języka ulicy.  
*wymoczek*, źle wyglądający, chudy człowiek, komiczny przez dziecienny wygląd.  
*wypluty*, »zmięty«, w złym humorze, źle wyglądający, mizerny, komiczny wskutek wyglądu.  
*wypluwek*, wyrzutek społeczeństwa, człowiek niepozorny, nieporadny.  
*ziewulek*, ziewanie.  
*zycba*, zebranie towarzyskie p. wyżej.  
*żołądek*, kolana, w zwrocie: *siadł mi na żołądku*.

Całego szeregu przezwisk dla osób nie przytaczam, bo są pospolitem zjawiskiem. Natomiast podaję jeszcze pewne końcówki w imionach własnych z zamiłowaniem używane, jako to: *Jacanio*, *Kazio*, *Władzio*, będące naśladowaniem słodkawych zdrobnień pe-

<sup>1)</sup> w codziennej mowie: *szaleć z gniewu*.

<sup>2)</sup> w codziennej mowie: *tarzać się ze śmiechu*.

wnej komicznej figury w dalszej rodzinie; dalej *-ycha*, *-icha* dla starszych kobiet np. *Aleksandrycha*; wreszcie końcówkę *-anka* przy panięńskich nazwiskach urobionych od twórców na *-ski*, np. *Górski*, *Górszczanka*.

Skromny to co prawda słownik, ale wystarcza najzupełniej potrzebom rodziny; wystarcza również, aby »gość« z poza domu, przyjęty do ściślejszego rodzinnego kółka »szalał«, gdy mu się proponuje »jazdę do Lancastru« lub by nie uległ dokładnemu przerażeniu dowiedziawszy się, że miał »padaczkę« przy czytaniu »Rajskiej opowieści« Makuszyńskiego. Niemniej zwątpi o sobie, usłyszawszy, że »ryczał« w salonie, »tarzał« się na kanapie, »kłębił« koło czarnej kawy, »obszturkiwał« panią doktorową« i »siedział na jej kolanach«, że wreszcie dostał »szału« na »zycbadzie«, co wszystko razem nie koniecznie »korzystnie« świadczyłoby o jego znajomościach *savoir-vivre*'u.

Przedstawiony tu słownik jest jeszcze względnie zrozumiały i względnie przyzwoity — oczywiście purysta i takim się srodze zgorzzy; można go sobie bez trudu w krótkim czasie przyswoić — no i oswoić się z nim. Jak daleko jednak może sięgać tajemniczość i niezrozumiałość takiego języka, świadczy najlepiej panna Xenia z »Nawracania Judasza« Żeromskiego, która, gdy »są rozmaite dryblasy z sąsiedztwa«, rozmawia z kuzynkami »swoim« »umówionym« językiem ...o pornografji.

Słownik języka »familijnego« czerpie swe składniki z paru źródeł. Pierwsze stanowią wyrazy codziennej mowy, całkiem pospolite i znane, których jednak znaczenie zmieniło się i przesunęło w pewnym kierunku. Jeżeli obrazowo przedstawimy kierunek zmiany znaczenia jako linię i na niej punkty, z których punkt *a* będzie pierwotnem znaczeniem, a *x* ostatecznym kresem rozwoju t. j. nowem znaczeniem, zaś punkty *b*, *c*, *d*... pośredniemi stopniami i odzieniami znaczeniowemi, to ujrzymy, że ostateczna faza jest rozmaicie odległa od pierwszego stadjum. W wyrazach *konkurent*, *młody bywalec* na przyjęciach lub *ryczeć*, *śmiać się* — nastąpiło tylko nieznaczne przesunięcie, w *obszturkiwać*, *ruja*, *Grazer* i t. p. stopnie pośrednie są liczniejsze i droga rozwoju dłuższa, więc i znaczenie bardzo różne od powszechnie znanego. — Drugą kategorię tworzą nowotwory; urobione od znanych tematów i z pomocą znanych końcówek słowotwórczych, różnią się właśnie podstawieniem jakiegoś sufiksu w miejsce pospolicie używanego, np. *chrapiulek* zamiast *chrapanie*, *mordament* na wzór *fundament* i inne. Znaczenie zostaje dawne, względnie zmienia się bardzo mało.

Trzecią gromadę przedstawiają zapożyczenia z innego języka,

np. *zycbad* z niemieckiego, *amiko*, *krokodilo* z Esperanta i cały szereg wyrazów z języka ulicy. Znaczenie ulega zmianie podobnie jak w wyrazach rodzimych, słowa z gwary ulicznej nie ulegają przeważnie dalszym przeobrażeniom. Czwartą wreszcie grupą to wyrazy codziennie używane w zwykłym znaczeniu, tylko uzupełnione czy to sufiksem czy innym dodatkiem, np. *kąpać sobie*, *sędzicha*.

Przezwiśka osób z grona rodziny lub koła znajomych tworzą osobny rozdział, mają jednak dość luźny związek ze słownikiem »familijnym«; wszak spotykamy się z nimi w najrozmaitszych okolicznościach i otoczeniach, w których nie powtarza się zjawisko osobliwego języka.

Pozostawałoby do omówienia pytanie, czy już w czasie powstawania naszej gwary jej twórcy uświadamiali sobie jej cel t. j. czy zdawali sobie sprawę, że tworzą język tajny, który w pewnych ściśle poufnych sprawach rodzinnych wyodrębni ich od obcych osób i domowe życie osłoni pewną tajemnicą — czy też dopiero z biegiem czasu nagromadzony drogą chwilowego żartobliwego usposobienia i dążenia do oryginalności w stylu materiał stał się ipso facto środkiem porozumiewawczym w rzeczach, których się przy wszystkich nie mówi. Drugie przypuszczenie jest prawdopodobniejsze, jeżeli zważymy drogę naturalnego, nie sztucznego, powstania tej gwary. Niewątpliwie jednak podstawy tworzenia się podobnego języka należy szukać w mimowolnem dążeniu do ściślejszych węzłów rodzinnych wskutek wspólności interesów. Trudno mi sądzić w kwestji świadomego i nieświadomego; przekracza to zakres artykułu i sięga w krainę badań psychologicznych.

Nowy Targ, w grudniu 1917.

*Juljusz Zborowski.*

---



---

### Ze starych dowcipów (gra znaczeń).

— Co to jest? — Czarne jagody. — A dlaczego one są czerwone? — Bo są jeszcze zielone.

---



---

SPIS RZECZY: Rytmy i metry: 2. Pierwsze próby metrów polskich J. Łosia. — O starożytności języka polskiego A. Gawrońskiego. — Rozbiór językowy Ojczenasza K. Nitscha. — Bór i las A. Danysza. — Język »familijny« J. Zborowskiego. — Ze starych dowcipów.

---



---

CENA ZESZYTU K. 250.

---



---

Drukarnia Uniwersytetu Jagiell. w Krakowie pod zarządem J. Filipowskieg.